

Łucja pojawiła się wśród nas tak ni stąd, ni zowąd. W burzliwy poranek, przesiąknięty zapachem hiacyntów i żonkili stanęła w skrzypiących drzwiach klasy. Drobną blondynką z uroczym uśmiechem na twarzy i w chabrowych oczach wywarła na nas piorunujące wrażenie. „ Jestem nowa, będę z wami przez pół roku, przyjechałam z Trójmiasta! ” – krzyknęła rezolutnie na dzień dobry. Zatkąło nas potrójnie. Wśród mieszkańców terenów wyżynnych Trójmiasto budziło ciepłutkie skojarzenia: wybrzeże, podróże, morze, plaża, urwisty brzeg, smażone węgorze, krzyk mew, żaglowce w porcie, bursztyny, budowle z piasku, gofry pełne jagód i orzeszków... Ale nie to było najważniejsze. Łucja jak magnes przyciągała do siebie. Wkrótce poznała wszystkich przedstawicieli ssaków naczelnych z klasy trzeciej b. Była uroczo zainteresowana zarówno piegowatym rudzielcem z zakrzywionym jak haczyk noskiem, jak i okularnikiem z ostatniej ławki, instalującym co rusz nowe apki. Klasowe babiszony oraz przedstawiciele płci brzydkiej nie odstępowali jej na krok. Łucja, zamiast się kłócić i wymądrzać jak niektórzy z nas, była mistrzynią uważnego słuchania wynurzeń i bolączek. Tryskała przy tym humorem i obdarzała każdego uśmiechem. Skąd to brała? To nadprzyrodzony dar od Stwórcy, ale też ciężka praca nad charakterkiem. Miała zasady. Wielbicielka grzanek z chrzanem i rzeżuchą nie używała brzydkich słów. Zamiast pudrowych cukierków i polukrowanych przekąsek, „pożerała” tony książek z bibliotecznych półek. Rzadko sięgała po telefon. Hodowała żółwia Błażeja i papużkę Helenkę. Przyznawała się też do niechęci do zakurzonych powierzchni. Słowem - była idealna. Sigma girl. Przyjaźnimy się z nią do dziś. Niestety do podtrzymywania tej przyjaźni używamy smartfonów.